

POLSKI KAPITALIZM GODZINA ZERO



Dziedziniec gmachu Komitetu Centralnego PZPR. Tu teraz będzie działać Giełda Papierów Wartościowych. Na zdjęciu Wiesław Rozłucki, pierwszy jej prezes. Warszawa, 1991 r.

KRZYSZTOF WÓJCIK / FORUM

SOLIDARNOŚĆ

i socjalizm

**W MYŚLENIU DZIAŁACZY
SOLIDARNOŚCI I WIĘKSZOŚCI
ORGANIZACJI OPOZYCYJNYCH
Z LAT 80. TRUDNO SIĘ DOSZUKAĆ
GOSPODARCZYCH AKCENTÓW
WOLNORYNKOWYCH.**

NIELICZNI UWAŻALI WTĘDY, ŻE USTROJEM
WOLNEJ POLSKI POWINIEN BYĆ KAPITALIZM.

JAN SKÓRZYŃSKI

Akcentów liberalnych w sprawach gospodarczych nie sposób się doszukać w Solidarności z lat 1980-81. Program związku zawodowego „Solidarność”, uchwalony na jego zjeździe w 1981 r., nosił nazwę „Samorządna Rzeczpospolita”. Idea ta miała wiele wspólnego z socjalistycznymi utopiami, znacznie mniej z modelem zachodniej wolnorynkowej demokracji. „Społeczeństwo – czytamy w tym programie – musi mieć możliwość organizowania się w taki sposób, który zapewni wszystkim sprawiedliwy udział w materialnych i duchowych dobrach narodu (...). Chcemy rzeczywistego uspołecznienia systemu zarządzania i gospodarowania”.

„Tak” dla socjalizmu

Pierwszy w „bloku wschodnim” wolny związek zawodowy akceptował podstawy socjalizmu i nie żądał gospodarczej wolności, lecz sprawiedliwości społecznej. Kontynuował więc styl myślenia lewicowej części opozycji, której przedstawiciele – Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Adam Michnik – odgrywali w nim niepoślednią rolę. Według Solidarności podstawą gospodarki miało być samodzielne przedsiębiorstwo państwowe, konkurujące z firmami spółdzielczymi i rodzinnymi. O prywatyzacji nie było mowy. Silny akcent kładziono na samorząd pracowniczy, przez który załoga miałaby wpływ na zarządzanie zakładem i udział w zyskach.

Samorządność była też jednym z głównych hasel politycznych Solidarności, która domagała się zwiększenia kompetencji samorządu terytorialnego. Jego przedstawiciele mieli zasiąść w drugiej izbie parlamentu, wraz z reprezentantami stowarzyszeń społeczno-zawodowych. Dalej idące postulaty formułowała Polska Partia Pracy, zakładana na bazie struktur Solidarności: opowiadała się za demokracją parlamentarną i za dominacją społecznej własności w gospodarce; chciano też przeciwdziałać nadmiernemu zróżnicowaniu zamożności.

Po 13 grudnia 1981 r. w zepchniętej do podziemia Solidarności myśl taktyczna górowała nad strategią. Oczekiwano, że władze zwolnią więźniów, zgodzą się na działanie niezależnych organizacji społecznych i podejmą reformy gospodarcze (jaki,

tego nie precyzowano). Podstawowym postulatem była legalizacja Solidarności; nie towarzyszyły mu projekty nowego ładu ustrojowego. Pod tym względem polska myśl polityczna po 13 grudnia stanęła w miejscu.

Problem numer jeden

Dopiero w połowie lat 80. w niezależnej publicystyce zaczęły się pojawiać nowe głosy. Wśród tych, którzy pierwsi zakwestionowali kanon myśli opozycyjnej o gospodarce, był Piotr Wierzbicki. W opublikowanych w 1985 r. „Myślach staroświeckiego Polaka” ubolewał, że opozycja, podobnie jak naród, pozostaje pod wpływem anachronicznych idei lewicy. Krytykował „wizję przyszłego niezależnego polskiego społeczeństwa, które nie jest przeciw socjalizmowi, tylko przeciw jego wypaczeniom, i które go udoskonali, wprowadzając nieznaną jeszcze nigdzie na świecie harmonijną egzystencję państwowej gospodarki, związków zawodowych i samorządów”. Tymczasem to utopia, która wszędzie tam, gdzie próbowano wcielić ją w życie, doprowadziła do katastrofy – przestrzegali Wierzbicki i dowodził, że fabrykom potrzebny jest prywatny właściciel i jego menedżer, pilnujący dyscypliny i jakości pracy, a nie dyktando państwowi dyrektorzy i rozpolitykowani działacze związkowi.

„Polski problem numer jeden – pisał Wierzbicki – stojący przed dzisiejszą myślą niepodległościową, polega na tym, że jeżeli pewnego dnia (...) skończą się jednopartyjne rządy PZPR i Polska otrzyma wolną drogę w rozwiązywaniu swych problemów wewnętrznych, to w pół roku od tego dnia komuniści mogą tu do władzy wrócić ponownie (...) w wyniku wyrażonej w wolnych wyborach swobodnej decyzji społeczeństwa”. Jeśli nie zmieni się styl myślenia opozycyjnych elit, hołdujących „ludowładczo-samorządowo-związkowym” utopiom, a także nawyki narodu ukształtowane na państwowej gospodarce PRL, to niepodległość oznaczać będzie gospodarczą katastrofę. Tak skończy się próba pogodzenia ekonomii realnego socjalizmu z zachodnią demokracją. Trzeba więc, namawiał Wierzbicki, przyjąć do wiadomości, że socjalizm w gospodarce wszędzie zbankrutował, a kapitalizm zwyciężył – i porzucić utopię.

→ STR. II



Solidarność i socjalizm

Cd. ze str. I

Większość Polaków myśli socjalizmem

→ Liberalne tezy Wierzbickiego na uznanie mogły jedynie liczyć w kręgu pisma „13”, redagowanego przez Mirosława Dzielskiego – albo w publicystyce Stefana Kisielewskiego czy Janusza Korwina-Mikkego. W prasie podziemnej spotkały się z odzuceniem. Dzielski, liberal z Krakowa, stawiał na ewolucję komunizmu w stronę neutralnego ideologicznie autorytaryzmu. Uważał, że prorynkowe zmiany w gospodarce, a przede wszystkim swoboda prywatnej przedsiębiorczości mogą – prędzej czy później – zaowocować zmianami politycznymi. A więc: najpierw wolność ekonomiczna, potem polityczna. Dzielski miał nadzieję, że na płaszczyźnie gospodarki rynkowej uda się znaleźć z władzą kompromis, którego nie można było osiągnąć w sferze polityki. Sądził, że udział ludzi nomenklatury w prywatyzacji majątku narodowego skłoni ich do porzucenia ideologii komunistycznej.

Inne środowisko opozycyjnej prawicy – Ruch Młodej Polski – nadzieje Dzielskiego uważało za mrzonki. Walka o wolność gospodarczą była, wedle Ruchu, ważna, ale jako jeden z elementów strategii opozycji, a nie element jedynej. W tej sferze za najważniejszą uznawano pracę nad zmianą społecznej świadomości. „W sprawach ekonomii wyraźna chyba większość Polaków myśli kategoriami socjalizmu. Nie wyobraża sobie innego modelu gospodarczego niż poprawiony socjalizm, chce państwa nadopiekuńczego – argumentowało pismo „Polityka

W podziemiu myślano wprawdzie o takiej gospodarce, w której mechanizmy rynkowe odgrywają decydującą rolę. Ale w kwestii własności górowało przywiązanie do wizji zgodnych z – tradycyjną dla opozycji – wizją „uspołecznienia” gospodarki.

Polska”, główny periodyk RMP. – Dlatego też upowszechnianie w świadomości społecznej innego sposobu myślenia o ekonomii, ukazywanie znaczenia wolności gospodarczej jako niezbędnego elementu odzyskiwania przez społeczeństwo podmiotowości jest sprawą szczególnej wagi”.

Ruch, wraz z jego liderem Aleksandrem Hallem, należał do nielicznych środowisk opozycyjnych, które już w połowie lat 80. były przekonane o konieczności reform wolnorynkowych. Ale w głównym nurcie opozycji dominowało myślenie socjalistyczne – nawet jeśli się od tego odzęgnywało. Dowodzi tego wydany w 1985 r. raport „5 lat po Sierpniu”, przygotowany przez zespół ekspertów Solidarności, którym kierowali Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki. Przynosił on propozycje reform rozmaitych dziedzin życia. Reforma gospodarcza miała polegać głównie na usamodzielnieniu przedsiębiorstw państwowych, skłonieniu ich do działań wedle reguł rynku, a nie nakazów politycznych. Remedium miał być nadal samorząd: uspołeczniony w ten sposób sektor publiczny miał stanowić podstawę modelu gospodarczego, w którym przewidziano też miejsce dla własności prywatnej, rozwiniętej szerzej niż w innych krajach socjalistycznych. Ale „reprivatyzacja nie jest realną perspektywą naszej gospodarki” – podkreślano.

Mniej państwa!

Tymczasem śladami Wierzbickiego zaczęli podążać zwiazani z Solidarnością ekonomiści. „O nową reformę gospodarczą” nawoływał Tomasz Gruszecki w podziemnym „Tygodniku Mazowsze” w 1986 r. Z punktu widzenia liberalizmu kwestionował on dogmaty opozycyjnego myślenia o reformie gospodarczej, w tym przekonanie, że podstawą gospodarki winien być sektor państwowy. Podał też w wątpliwość ekonomiczną przydatność samorządu i atakował ulubioną tezę reformatorów socjalizmu, że trzeba połączyć plan z rynkiem. Gruszecki dowodził, że takiej hybrydy nie ma, i proponował wycofanie się państwa z gospodarki. Jego wizja prywatnych przedszkoli, klinik i szkół była pionierska, ale dla wielu obrazoburcza. Reforma musi być jednoznacznie rynkowa i trzeba porzucić złudzenia, że można ją przeprowadzić bezboleśnie. „Uczciwy polityk mógłby obiecać narodowi tylko to, co Churchill społeczeństwu brytyjskiemu w 1940 r.: krew, pot i łzy” – tak pisał Gruszecki trzy lata przed upadkiem komunizmu.

W dyskusji w środowiskach opozycyjnych nad jego propozycjami przeważały głosy broniące sektora państwowego i samorządu. Ale pojawiły się też opinie bardziej dalekowzroczne. „Deklarujemy się więc za orientacją rynkową, ale też lojalnie ostrzegajmy, że dla większości będzie to oznaczać zamach na sytuację życiową, do której przywykli” – proponował jeden z jej uczestników w „Tygodniku Mazowsze”. Inny pytał: program Solidarności traktuje pełne zatrudnienie jako wartość, z której nie zrezygnujemy; czy to podtrzymujemy? I jaki ma być zakres opiekuńczej roli państwa? Może cały system trzeba zmienić, a nie jedynie dołączyć do niego pewne rozwiązania demokratyczne? Te kluczowe pytania nie doczekały się wtedy odpowiedzi.

A może trzecia droga?

W kwietniu 1987 r. wypowiedziały się władze podziemnej Solidarności – jako główne kierunki przyszłej reformy wymieniając swobodę przedsiębiorczości i równouprawnienie sektorów (państwowego, spółdzielczego i prywatnego). Uważano, że w przedsiębiorstwach główną rolę powinien odgrywać samorząd, a reprezentacja samorządów pracowniczych miała współuczestniczyć w centralnych decyzjach gospodarczych.

Kierownictwo nielegalnej Solidarności zapowiadało też zniesienie nomenklatury [tj. zasady, że kierownicze stanowiska w gospodarce PRL obejmowali ludzie z nadania rządzącej partii – red.], odblokowanie inicjatywy prywatnej i otwarcie gospodarki na świat oraz wymienialność pieniądza. Remedium na koszt reform (jak wzrost cen i inflacja) miała być tzw. indeksacja dochodów [automatyczne dostosowanie ich do wzrostu cen i kosztów utrzymania – red.]. Pisano: „Przeważająca część majątku narodowego powinna się znaleźć w dyspozycji zrzeszeń społeczno-gospodarczych, samorządów, spółdzielni i różnego typu spółek o mieszanym charakterze, a prywatna inicjatywa powinna otrzymać szerokie możliwości rozwoju”.

Widać tu, że w podziemiu myślano więc już o takiej gospodarce, w której mechanizmy rynkowe odgrywają decydującą rolę. Ale w kwestii własności wciąż górowało przywiązanie do spółdzielni i innych podobnych organizmów, zgodnych z tradycyjną dla opozycji wizją „uspołecznienia” gospodarki. Projektowano zatem coś w rodzaju trzeciej drogi: między komunistycznym upaństwowieniem a współczesnym obliczem wolnorynkowego kapitalizmu.

Tymczasem pod koniec dekady lat 80. w podziemnej publicystyce coraz silniejszy staje się nurt opowiadający się za gospodarką, w której dominować będzie prywatna własność i przedsiębiorczość. Liberalizm ekonomiczny i polityczny za swoje *credo* uznawała grupa skupiona wokół pisma „Niepodległość”. Swą prokapitalistyczną misję kontynuował też Dzielski, który założył Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe.

Gdański liberalizm

Ale najbardziej znaczącym ośrodkiem opozycyjnego liberalizmu stał się Gdańsk. W publicystyce „Polityki Polskiej” wolność przedsiębiorczości i konieczność zerwania także na tym polu z socjalizmem zajmowała coraz ważniejsze miejsce. „Z 40-letniego uczestnictwa w systemie marksistowskim powinniśmy wynieść przynajmniej tę wiedzę: wolnym jest ten, kto posiada środki produkcji” – pisano w 1987 r. „Działalność gospodarcza z pewnością nie zastąpi polityki (...). Ale kładzie ona fundamenty pod społeczeństwo obywatelskie, może uczynić Polaków bardziej odpowiedzialnymi, pracowitymi i przedsiębiorczymi” – pisał autor „Polityki Polskiej”.

Zdecydowanego wyboru na rzecz liberalizmu dokonywali też ludzie skupieni wokół wydawanego w Gdańsku „Przeglądu Politycznego”. Grupa Jana Krzysztofa Bieleckiego, Wojciecha Dudy, Janusza Lewandowskiego, Donalda Tuska i Andrzeja Zarębskiego przynosiła najpoważniejszą – bo wsparłą znajomością tradycji intelektualnej tego kierunku – propozycję liberalną w opozycji. „Gwarantami prawidłowego funkcjonowania gospodarki są własność prywatna, wolny rynek i swobodna konkurencja wolnych wytwórców. Propozycje reform i presja społeczeństwa i jego elit powinna iść w tym kierunku” – pisał Tusk w 1987 r., pomysł „trzeciej drogi” czy „socjalizmu z ludzką twarzą” uznając za utopijne.

Inny autor „Przeglądu Politycznego”, Piotr Kapczyński, uważał, że wprowadzenie mechanizmów rynku i reprivatyzacja są niezbędne, ale prywatyzacji nie da się przeprowadzić w krótkim czasie. Przestrzegał przed nieprzygotowanym wycofaniem się państwa z roli podmiotu życia gospodarczego, gdyż przepływ jego majątku w prywatne ręce może nastąpić nie w wyniku mechanizmów ekonomicznych, lecz korupcji: „Taki żywiołowy proces mógłby mieć katastrofalne konsekwencje gospodarcze i społeczne – fortuny zdobyte dzięki skorumpowanej państwowej administracji gospodarczej, bankructwa, bezrobocie”.

A jak doprowadzić do wolnorynkowych przekształceń? W Polsce może to zainicjować tylko opozycja – podkreślał Kapczyński. W kraju komunistycznym nie da się powtórzyć drogi np. Korei Południowej, gdzie motorem reform było państwo (to odróżniało gdańskich liberałów od Dzielskiego).

Grupa „Przeglądu Politycznego” nie zamierzała porzucić sprawy Solidarności, traktując ją jako główną siłę zdolną do walki z komunizmem. Zdawali sobie jednak sprawę, że główny nurt ruchu zdominowany był przez antyliberalne przesady i mitologię socjalizmu. Toteż przystąpili do budowy odrębnego środowiska politycznego. W grudniu 1988 r., na parę dni przed utworzeniem w Warszawie Komitetu Obywatelskiego, odbył się I Gdański Kongres Liberalów. Dwa miesiące później powstało stowarzyszenie Kongres Liberalów; wkrótce stało się partią.

Samorząd czy rynek?

Tymczasem projektem liderów Solidarności nadal była ewolucja: powolna i uzgodniona z władzami przebudowa systemu, która opozycji miała dać możliwość legalnego działania, a władzy zapewnić stabilizację i społeczne poparcie, niezbędne dla przeprowadzenia reform. Taka była istota „paktu antykrzysowego”, jaki proponowano władzom w 1988 r.

Opozycja kusila też aparat partyjny możliwościami gospodarki rynkowej. „Gdyby likwidacja nomenklatury oznaczała, że jej ludzie wszystko utracą, nie byłoby żadnych szans, by przemiany demokratyczne mogły dokonać się w sposób pokojowy” – uważał Kuroń. Ale, zaznaczał, w nowych okolicznościach okazać się może, że menedżerskie doświadczenie ludzi nomenklatury ułatwi im zakładanie firm prywatnych i wygrywanie wyborów; pod warunkiem, że reformatorska część PZPR włączy się do demokratycznych przemian. Jeszcze bardziej pragmatycznie podchodził Jan Winiecki, który w podziemnej „Krytyce” wyliczał, ile by kosztowało wykupienie od warstwy rządzącej praw własności i „uwłaszczenie społeczeństwa”.

W grudniu 1988 r. powstał Komitet Obywatelski: polityczna reprezentacja części opozycji, tej skupionej wokół Wałęsy. W wypowiedziach Komitetu na tematy ekonomiczne nie było konsekwencji: z jednej strony postulowano zniesienie administracyjnych barier dla sektora prywatnego i stworzenie warunków dla „swobodnej ewolucji struktury własnościowej”; z drugiej chciano przyznać jak najszersze kompetencje samorządowi pracowniczymu w przedsiębiorstwach państwowych. Podkreślano też, że w trudnym okresie startu reformy rynkowej państwo powinno zapewnić pełne zatrudnienie i wprowadzić indeksację wynagrodzeń.

Wciąż wahano się więc między opcją liberalno-rynkową a ideą samorządu i opiekuńczej funkcji państwa, ingerującego w gospodarkę pod hasłami sprawiedliwości społecznej.

Ku przełomowi

Przy Okrągłym Stole w kwestiach gospodarczych przełomu nie było – jego ustalenia skupiały się na działaniach ratunkowych wobec katastrofy gospodarki socjalistycznej.

Dlatego przejście władzy latem 1989 r. było dla opozycji wielkim wyzwaniem. Przejmowała odpowiedzialność za kraj w stanie gospodarczego upadku, w chwili, gdy nasilały się społeczne protesty przeciw rosnącym kosztom utrzymania. Ekipa Mazowieckiego odziedziczyła po ostatnim rządzie PZPR system indeksacji i gwałtowną inflację.

To powaga sytuacji wymusiła decyzje o wolnorynkowym kierunku – i radykalnym tempie reformy. Jej głównym autorem był Leszek Balcerowicz, minister finansów. Pod jego wpływem Mazowiecki uznał, że Polski nie stać na eksperymenty i trzeba jak najszybciej wprowadzić model gospodarki wolnorynkowej.

Plan Balcerowicza przewidywał uruchomienie mechanizmów rynkowych przez uwolnienie cen i wprowadzenie wewnętrznej wymienialności złotówki oraz szeroką prywatyzację. Był to szok nie tylko w sferze ekonomicznej. Dla większości Polaków zderzenie z realiami rynku było bolesne i nieoczekiwane. Wyjątkowo mocno odczuli to warstwy stanowiące dotąd oparcie Solidarności: robotnicy z wielkich państwowych przedsiębiorstw i zatrudniona w sferze budżetowej inteligencja.

Niestety, ten gwałtowny zwrot w polityce gospodarczej nie został poprzedzony przedstawieniem klęski socjalizmu ani wytłumaczeniem konieczności obrania takiej drogi. W efekcie za spadek poziomu życia i kłopoty z bezrobociem ludzie zaczęli oskarżać reformatorów – nie dostrzegając, że jest to cena, jaką trzeba zapłacić za wyjście ze ślepego zaułka komunizmu. ♦

→ JAN SKÓRZYŃSKI jest historykiem, pracownikiem IPN, redaktorem naczelnym słownika biograficznego „Opozycja w PRL”. Wydał m.in. „Kalendarium Solidarności 1980-89”, „Od Solidarności do wolności”. W kwietniu w wydawnictwie Znak ukazuje się jego książka „Rewolucja Okrągłego Stołu”.

REFORMY W KRAJACH EUROPY ŚRODKOWEJ NIE PRZEBIEGAŁY TAK SAMO.

CO RÓŻNIŁO POLSKĘ OD WĘGIER
ALBO KRAJE BAŁTYCKIE OD
SŁOWACJI? I CO Z TEGO WYNIKŁO?

REINHOLD VETTER

Dla krajów Europy Środkowej, dziś członków Unii Europejskiej, globalny kryzys to godzina prawdy: dopiero teraz się okaże, jak stabilne są gospodarcze i społeczne fundamenty, zbudowane w ciągu minionych 20 lat.

Transformacja systemowa i kolejne reformy, trwające w tych krajach od 1989 r., dostarczają kapitalnego materiału pogładowego każdego, kto interesuje się historią ekonomii. Mamy tu sukcesy i porażki; pionierów i tych, którzy zamykali reformatorski peleton, aby potem nagle wyskoczyć do przodu; mamy rozwiązania oryginalne i plagiaty. Wiele o tym wszystkim mogliby powiedzieć ci, którzy pamiętają, jak Leszek Balcerowicz forsował w Sejmie konieczne ustawy, a Jacek Kuroń w pogadankach telewizyjnych objaśniał Polakom kapitalizm.

I choć dziś, w 2009 r., nie da się jeszcze stwierdzić, jak głębokie będą skutki obecnego kryzysu, to można powiedzieć, że w tej części Europy model gospodarki wolnorynkowej nie jest zagrożony – nawet jeśli wiele pozostaje jeszcze do zreformowania właśnie w takich obszarach jak finanse publiczne, polityka przemysłowa czy sfera socjalna.

Wygrał rynek

Wtedy, na fali zmiany systemu, Nowe mieszalo się ze Starym. Opinie na temat docelowego modelu sięgały od rynkowo-liberalnych aż po marzenia o „trzeciej drodze” między kapitalizmem a socjalizmem. Protagonistami liberalizmu byli m.in. Balcerowicz czy Václav Klaus w Czechosłowacji. Sympatyków „trzeciej drogi” znaleźć można było w opozycyjnych środowiskach w NRD, wokół Aleksandra Dubčeka (przywódcy Praskiej Wiosny, który próbował wrócić do polityki) oraz wśród przywódców Solidarności. Z kolei Kuroń czy Tadeusz Mazowiecki myśleli o społecznej gospodarce rynkowej. Koniec końców wygrał nurt pragnący jak najszybciej odejść od wpływu państwa i wprowadzić gospodarkę wolnorynkową. Głównym motywem był tu fatalny stan socjalistycznej gospodarki: jej permanentny kryzys.

Pomijając przypadek byłej NRD (w 1990 r. włączonej do RFN), ekonomiczni reformatorzy dysponowali wprawdzie koncepcjami, ale nie mieli doświadczenia (chyba że wcześniej pracowali w firmach na Zachodzie). Z kolei zachodni profesorowie ekonomii, zaangażowani pośpiesznie w roli doradców, dysponowali powierzchowną tylko wiedzą o specyficznych problemach gospodarczych Europy Wschodniej. Nigdy wcześniej nie przeprowadzano takiej zmiany, od socjalizmu do kapitalizmu – nawet jeśli na Węgrzech w latach 80., a od 1988 r. także w Polsce podejmowano próby poluzowania planowej gospodarki.

Przełom 1989 r. zapoczątkował zmiany we wszystkich obszarach gospodarki i finansów. Kluczową rolę przyznano firmom prywatnym, ruszyła prywatyzacja. Budowa nowoczesnego sektora finansowego z prywatnymi bankami i firmami ubezpieczeniowymi stała się logicznym uzupełnieniem denacjonalizacji i ważnym krokiem na drodze budowy nowych



Rok 1993: bazar
w centrum Warszawy

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

RYNEK niejedno ma imię

struktur sektora usług. Zniesienie państwowe monopolu w handlu zagranicznym sprawiło, że import i eksport przestały być nakierowane jednostronnie na blok wschodni. Państwo zrezygnowało z ogólnego ustalania kursu waluty, powstawały niezależne banki centralne. Otwarcie na inwestycje z Zachodu okazało się decydującym czynnikiem szybkiego rozwoju gospodarczego i technologicznego.

Spór o kierunek

Należy jednak podkreślić, że transformacja nie przebiegała w tym samym tempie. W jednym państwach (np. w Polsce; pomijając ślimaczącą się prywatyzację) stosunkowo szybko, w innych dłużej; w jeszcze innych uruchomiono ją z opóźnieniem (np. na Słowacji). Jej przebieg zależał od wielu czynników: od zmian systemowych i w strukturze państwa (np. rozpad Czechosłowacji), wymiany elit w administracji i gospodarce, a także od politycznych przetasowań po kolejnych wyborach.

W międzynarodowej debacie eksperckiej przeważa pogląd, że na pierwszym etapie transformacji najbardziej efektywnym modelem była „terapia szokowa” Balcerowicza. W Polsce dyskusja na temat jej zasadności ciągnęła się aż do lat 2005-07, gdy – po objęciu urzędów prezydenta i premiera przez Lecha i Jarosława Kaczyńskich – jej krytyka osiągnęła apogeum. Jednak wiele przemawia za tym, że strategia Balcerowicza była właściwa. Stworzyła solidny fundament prawny i administracyjny pod funkcjonowanie gospodarki według w dużej mierze jednolitych i przejrzystych reguł. Strukturalne i społeczne

koszty polityki Balcerowicza były wprawdzie wysokie, jednak byłyby one jeszcze wyższe, gdyby w gospodarce przez dłuższy czas miał obowiązywać bałagan i zamieszanie.

Ważnego argumentu na rzecz słuszności działań Balcerowicza dostarcza tzw. prywatyzacja kuponowa w Czechach. Utorowała drogę do kapitału i prywatyzowanych firm wielu nieprzejrzystym aktorom rynku finansowego, czasem o mieszanym, państwowo-prywatnym charakterze. I to w taki sposób, że obejmowanie prywatyzowanych firm nie było powiązane z koniecznością przedstawienia koncepcji ich dalszego funkcjonowania w warunkach rynku. W efekcie w późniejszych latach czeskie państwo musiało ponosić wysokie koszty finansowej i biznesowej konsolidacji takich firm. W pojedynczych przypadkach także w Polsce zdarzało się, że przedsiębiorstwa sprzedawano zagranicznym inwestorom, którzy nie mieli koncepcji ich funkcjonowania na rynku (np. zakup FSO przez koreański koncern Daewoo).

Koszty i zapóźnienia

Listę „bezdrowy” transformacji można ciągnąć. Np. samoizolacja Słowacji z wczesnych lat 90., spowodowana polityką premiera Mečiara, sprawiła, że kraj wypadł z międzynarodowego nurtu procesów gospodarczych. Późniejsza korekta w kierunku wolnego rynku, zainicjowana przez Mikuláša Dzurindę była skuteczna, ale przywiązywała za małą wagę do kwestii społecznych. Z tego czasu pochodzi też silne ukierunkowanie gospodarki na przemysł motoryzacyjny, co dziś może się odbić negatywnie na słowackim eksporcie.

Z kolei Estonia i Łotwa postawiły za bardzo na fascynację usługami świadczonymi elektrycznie, nie doceniając faktu, że także w krajach postsocjalistycznych ważną rolę pełnią nadal klasyczne sfery produkcji przemysłowej. Tłumaczy to, dlaczego kraje te są dziś szczególnie dotknięte skutkami kryzysu finansowego. Z kolei Węgry są najlepszym przykładem, jak można podejmować reformy, jednocześnie ignorując konieczność zachowania równowagi między stolicą a pozostałymi regionami kraju: o przepaści, jaka dzieli dziś Budapeszt od reszty węgierskiego świata, można by napisać wiele dramatycznych reportaży.

Wspólnym doświadczeniem transformacji w Europie Środkowej były wysokie i bolesne społeczne koszty reform. Obejmowały one także recesję gospodarczą, czasem wiążącą się ze znacznym spadkiem PKB. Oczywiście stało się, że nowy system nie zafunkcjonuje z dnia na dzień, a jego budowa związana jest z wysokimi kosztami ludzkimi i materialnymi. Przemiany po 1989 r. zapoczątkowały we wszystkich krajach regionu gigantyczną przebudowę strukturalną, przejawiającą się zwłaszcza w częściowej likwidacji przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego oraz redukcji sfery rolniczej, na rzecz budowy nowoczesnego sektora usług. W Polsce w latach 90. proces ten doprowadził do zlikwidowania ponad 3 mln miejsc pracy.

Nic dziwnego, że po 1989 r. w społeczeństwach regionu akceptacja dla wolnego rynku była początkowo dość niska. Jej wzrost nastąpił dopiero około roku 2000, gdy poziom życia szerokiej grup społecznych zaczął się powoli podnosić.

Istotnym problemem dla wszystkich krajów regionu pozostaje niska sprawność i wydajność systemów opieki społecznej i zdrowotnej. Jednocześnie tzw. sfera socjalna jest zbyt silnie uzależniona od budżetu państwa. Wprowadzenie odpowiednich reform utrudnia tu mieszanka pozostałości po socjalizmie, zmęczenia reformami, deficytu finansowego i politycznego klientelizmu. A także to, że po 1989 r. politykę społeczną traktowano często jako „wentyl bezpieczeństwa”: miała łagodzić skutki reform. Być może jednak inne rozwiązania nie były możliwe, gdy w obliczu skąpych rezerw trzeba było najpierw skoncentrować się na budowie wolnego rynku, kwestię wyboru modelu socjalnego zostawiając na później. Dziś w większości państw pokomunistycznych reformy systemu emerytalnego są zaawansowane, podczas gdy polityka rynku pracy i zatrudnienia czy systemy opieki zdrowotnej pozostawiają wiele do życzenia.



Mimo wysokich kosztów społecznych, historia transformacji gospodarczej w Europie Środkowej to historia sukcesu: standard życia znacznie się podniósł, choć rosną też różnice w dochodach poszczególnych grup społecznych. Jeśli chodzi o poziom życia, najwyższy jest on dziś w Słowenii; następnie w Polsce, Czechach i na Węgrzech. Gorzej powodzi się obywatelom krajów bałtyckich i Słowacji; na końcu znajdują się Rumunia i Bułgaria. ◆
PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH PIĘCIAK

→ REINHOLD VETTER (ur. 1946) jest z wykształcenia inżynierem i politologiem, z zawodu dziennikarzem. W Polsce od 21 lat; w latach 1988-94 był korespondentem niemieckiego radia publicznego ARD, od 1994 r. jest korespondentem dziennika ekonomicznego „Handelsblatt” na kraje Europy Środkowej. Autor wielu publikacji na temat polskiej polityki, gospodarki i kultury. Ostatnio wydał książkę „Wohin steuert Polen?” (Berlin 2008).

● Jak ludzie reagowali na transformację? Dlaczego kryzys to „chwila prawdy”? O tym piszemy w rozszerzonej wersji tekstu Vettera na naszej stronie internetowej.

WIELKI SKOK

Dotyczasowa polityka gospodarcza realnego socjalizmu znaczy [dla niego] tyle, co wierzenia jakiegoś szerepu zamieszkującego dorzecze Amazonki” – tak w swoich wspomnieniach charakteryzował poglądy ministra przemysłu Mieczysława Wilczka jego szef, premier Mieczysław Rakowski. Wilczek, milioner z legitymacją członka PZPR w kieszeni, stał się symbolem radykalnego zwrotu w polityce gospodarczej, jakiego dokonał w końcu 1988 r. nowy rząd utworzony wówczas przez Rakowskiego.

Model chiński?

Do dziś otwarte pozostaje pytanie, czy celem działań podejmowanych wówczas przez ekipę Jaruzelskiego była realizacja tzw. wariantu chińskiego – czyli daleko posuniętej liberalizacji i częściowej prywatyzacji gospodarki, przy równoczesnym utrzymaniu autorytarnego systemu rządów. Wedle tej hipotezy cała operacja Okrągłego Stołu miała być swoistą zasłoną dymną, która z jednej strony miała uspokoić coraz bardziej niezadowolone społeczeństwo, z drugiej zaś poprawić na tyle notowania władz PRL na Zachodzie, by otworzyć na nowo strumień kredytów przerwany po wprowadzeniu stanu wojennego.

Zarówno w archiwach pozostałych po PZPR, jak i w tych ocalałych po strukturach SB, nie udało się dotąd odnaleźć dokumentów, które potwierdzałyby istnienie tego rodzaju planu. Nie wyklucza to jednak, że niektórzy ludzie z kierownictwa PZPR właśnie tak mogli sobie wyobrażać przyszłość co najmniej do 1995 r., czyli do końca wynegocjowanej przy Okrągłym Stole sześciolietniej kadencji prezydenckiej Jaruzelskiego, który skupić miał w swym ręku najważniejsze atrybuty władzy.

Jeśli zaś nawet ich plany nie sięgały tak daleko, to proces najpierw podskórny, a następnie już otwartej transformacji systemu gospodarczego – jaki miał miejsce jeszcze przed powstaniem rządu Mazowieckiego latem 1989 r. – zmierzał właśnie w kierunku, jaki później nazwano modelem chińskim. Jego istotę stanowiła konwersja władzy politycznej na kapitał ekonomiczny.

Poligon władz (i służb)

Pierwszym obszarem, na którym zjawisko takiej konwersji wystąpiło na masową skalę, były powstające od 1982 r. tzw. spółki polonijne.

Spółki polonijne stały się dla władz – a w szczególności dla funkcjonariuszy służb specjalnych (zarówno SB, jak i służb wojskowych) – rodzajem poligonu doświadczalnego. Testowano w nich zachowania podmiotów opierających się w swoim działaniu na mechanizmach rynkowych i wykorzystywano je do tajnych działań operacyjnych. Równocześnie nasilało się zjawisko fraternizacji właścicieli spółek z osobami należącymi do aparatu władzy PRL.

Proces ten nie doczekał się jak dotąd rzetelnej analizy historycznej, ale na jego rozmiary

LUDZIE APARATU PAŃSTWOWEGO I PARTYJNEGO PRL ZACZĘLI SIĘ ANGAŻOWAĆ W DZIAŁALNOŚĆ BIZNESOWĄ NA DŁUGO PRZED ROKIEM 1989.

KORZYŚCI Z TEGO PŁYNĄCE

MIAŁY WPŁYW NA ICH

PÓŹNIEJSZE ZACHOWANIE:

UTRATĘ WŁADZY POLITYCZNEJ

POSTRZEGALI JAKO CENĘ

PRZEMIAN WŁASNOŚCIOWYCH,

KTÓRYCH BYLI BENEFICJENTAMI.

ANTONI DUDEK

wskazuje wystąpienie szefa kontrwywiadu SB z Poznania ppłk. Wojciecha Sobisiaka, który już w lutym 1987 r. wskazywał na zjawisko zatrudniania się w spółkach polonijnych „osób, które w przeszłości zajmowały eksponowane stanowiska w gospodarce narodowej lub sprawowały wysokie funkcje w administracji państwowej i instancjach partyjnych i nadal posiadają określone układy i powiązania w sferach decydenckich. Wśród tej kategorii osób odnotowaliśmy: 15-tu byłych dyrektorów dużych przedsiębiorstw państwowych, 6 sekretarzy instancji wojewódzkiej, 1-go wojewodę, 1-go prokuratora nie mówiąc już o byłych [funkcjonariuszach], jak i członkach rodzin aktualnych funkcjonariuszy resortu [MSW].”

Mimo werbalnych prób przeciwstawienia się takim zjawiskom ekipa Jaruzelskiego w praktyce akceptowała proces, w ramach którego ludzie z aparatu władzy przechodzili do sektora prywatnego. W latach 80. sektor ten, jako jedyna część gospodarki, przeżywał rozwój: w latach 1981-85 zwiększył on poziom produkcji o 13,8 proc., podczas gdy w tym samym czasie wytwórczość sektora państwowego zmniejszyła się o 0,2 proc.

Mimo oczywistej niezgodności z pryncypiami ideologicznymi, stan ten był tolerowany, gdyż to właśnie tzw. przywaciarze przynajmniej częściowo łagodzili chroniczny brak towarów konsumpcyjnych, a tym samym odsuwali groźbę kolejnych niepokojów społecznych.

Partia się bogaci

„Dominowało zawołanie *enrichissez-vous*, bogacie się” – oceniał nastroje panujące w niektórych kręgach aparatu władzy Władysław Baka, członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR. Przyznał też, że „mimo wielokrotnych upomnień” i domagania się, by zahamo-

wać narastanie tego rodzaju zjawisk, „tak się nie stało”.

Nie mogło być inaczej, skoro samo kierownictwo PZPR zaczęło w połowie 1988 r. zachęcać funkcjonariuszy aparatu partyjnego do działalności gospodarczej. „Nowe regulacje prawne – pisano w notatce Wydziału Gospodarki Wewnętrznej KC PZPR z lutego 1989 r. – wywołały olbrzymie zainteresowanie również w komitetach wojewódzkich, które w trosce o zdobycie dla partii dodatkowych dochodów występują z licznymi propozycjami inicjatyw w tej mierze (...). Inicjatywy te najczęściej obejmują: wchodzenie do spółdzielni osób prawnych; tworzenie spółek z o.o.; wchodzenie do spółek akcyjnych poprzez zakup akcji; (...) uruchamianie różnorodnej działalności usługowo-produkcyjnej w wyodrębnianych własnych zakładach.”

Kierownictwo PZPR nie tylko akceptowało inicjowanie komercyjnej działalności przez lokalne komitety partyjne, ale samo tworzyło wzory do naśladowania.

Zachęcanie działaczy PZPR do aktywności gospodarczej miało też swój wstydliwie skrywany powód, który z czasem stał się czynnikiem przyspieszającym erozję centrum władzy: był nim pogarszający się stan finansów PZPR, której budżet w 1988 r. był pokrywany przez składki członkowskie w zaledwie 12 proc. (udział składek w wydatkach partii, które w połowie lat 80. wynosiły 13 mld starych zł – oficjalnie: 88 mln dolarów – spadał od lat 1980-81).

Esbecy do biznesu

Nie tylko partyjni aparatczycy, ale również funkcjonariusze podlegli MSW (a zwłaszcza członkowie ich rodzin) często byli organizatorami i udziałowcami prywatnych spółek powstających z udziałem majątku państwowego. Odbywało się to za zgodą kierownictwa MSW, czego nawet nie ukrywano na wewnętrznych naradach. „Nie jesteśmy przeciwko podejmowaniu działalności handlowej, usługowej czy produkcyjnej na własny rachunek przez rodzinny funkcjonariuszy, z wyjątkiem firm polonijnych i z udziałem kapitału zagranicznego” – mówił w kwietniu 1989 r. na II Krajowej Konferencji Przewodniczących Rad Funkcjonariuszy MO i SB szef Służby Polityczno-Wychowawczej MSW Czesław Staszczak (a zatem człowiek odpowiedzialny za tzw. ideologiczny kręgosłup aparatu bezpieczeństwa).

W styczniu 1989 r., na dorocznej odprawie kadry kierowniczej MSW w Legionowie, Staszczak mówił też o „możliwości stworzenia funkcjonariuszom uzyskiwania dodatkowych dochodów” i – „jeśli na to wskazuje interes służby” – o „udzieleniu zgody funkcjonariuszom na dodatkową pracę poza resortem spraw wewnętrznych.”

Wedle szacunków inspektorów kadrowych niemal co dziesiąty z blisko 3,5 tys. funkcjonariuszy, którzy odeszli w 1988 r. ze służb podległych MSW na własną prośbę, uczynił to w celu założenia własnego przedsiębiorstwa.

Proces – nazwany później nieprecyzyjnie uwłaszczeniem nomenklatury – przestał być



Kantor wymiany walut w Alejach Jerozolimskich; rok 1989.

zjawiskiem wstydliwie skrywanym z chwilą powstania jesienią 1988 r. rządu Rakowskiego. Jednym z najważniejszych celów tego gabinetu stało się bowiem jak najszybsze wprowadzenie w życie „założeń planu konsolidacji gospodarki narodowej”, który został uchwalony przez IX Plenum KC PZPR we wrześniu 1988 r. Przewidywano w nim m.in. zniesienie koncesjonowania działalności ekonomicznej, równouprawnienie wszystkich form własno-

Wedle szacunków inspektorów kadrowych niemal co dziesiąty z blisko 3,5 tys. funkcjonariuszy, którzy odeszli w 1988 r. ze służb podległych MSW na własną prośbę, uczynił to w celu założenia własnego przedsiębiorstwa.

ści, demonopolizację gospodarki i uzdrowienie pieniądza przez stłumienie inflacji i uniezależnienie banku centralnego od rządu. „Grundtówna przebudowa systemu finansowego przedsiębiorstw – stwierdzano – odsoni nieefektywność różnych jednostek (...). Staną one wówczas przed alternatywą: albo poprawią efektywność i osiągną wynik dodatni, albo znikną z powierzchni życia ekonomicznego.”

„Nowa polityka ekonomiczna”

Plan był racjonalny. Ale zarówno w tym, jak i w innych oficjalnych dokumentach nie wspomniano o dwóch problemach: co miało się stać z majątkiem przedsiębiorstw „znikających z powierzchni” i jak poradzić sobie z nieuchronnymi protestami zatrudnionych w nich ludzi.

Plan konsolidacji gospodarki przerodził się w pakiet ustaw, które miały zmienić reguły życia ekonomicznego w Polsce – inicjując proces budowy podstaw gospodarki rynkowej. 23 grudnia 1988 r. Sejm PRL uchwalił ustawy „O działalności gospodarczej” oraz „O działalności gospodarczej z udziałem podmiotów zagranicznych”, których projekty przygotowywał jeszcze rząd premiera Zbigniewa Messnera.



Nowe przepisy wprowadziły daleko idącą swobodę prowadzenia działalności gospodarczej, ograniczając konieczność uzyskiwania zezwoleń i koncesji tylko do jedenastu dziedzin (m.in. wydobywania kopalni, handlu bronią i produkcji spirytusu). Duże znaczenie miało też wprowadzone w marcu 1989 r. nowe prawo dewizowe, które legalizowało obrót walutami obcymi, i ustawa o prawie bankowym ze stycznia 1989 r. umożliwiającą zakładanie banków przez osoby prawne i fizyczne.

Zmiany w przepisach regulujących działalność gospodarczą – w połączeniu z deklaracjami rządu Rakowskiego o nowej polityce ekonomicznej – doprowadziły do zwiększenia aktywności sektora prywatnego. Pogłębiającej się inflacji i zapaści gospodarki państwowej towarzyszył gwałtowny rozwój prywatnej przedsiębiorczości. W pierwszej połowie 1989 r. zarejestrowano blisko 6 tys. prywatnych spółek prawa handlowego (w porównaniu ze stanem z końca 1988 r. – wzrost aż czterestokrotny). Spółki zaczęły też powstawać w sektorze państwowym, a w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1989 r. ich liczba uległa podwojeniu (przekraczając liczbę 2 tys.). Znaczącą część z nich stała się głównym kanałem umożliwiającym przepływ majątku państwowego w prywatne ręce ludzi z aparatu władzy PRL.

Nomenklatura się uwłaszcza

Drenaż majątku państwa uległ nasileniu po uchwaleniu 24 lutego 1989 r. ustawy „O niektórych warunkach konsolidacji gospodarki narodowej” stwarzającej możliwość przejmowania majątku państwowego do użytkowania przez osoby prywatne przez dzierżawę, wynajęcie lub wniesienie go jako aportu do spółki o kapitale mieszanym. Umowy ze spółkami podpisali dyrektorzy przedsiębiorstw państwowych będący równocześnie udziałowcami lub członkami władz tych nowych spółek.

Gdy w końcu 1989 r. Prokuratura Generalna zbadała – na polecenie rządu Mazowieckiego – skalę tego zjawiska, doliczono się 1593 tzw. spółek nomenklaturowych, a więc utworzonych przez osoby z aparatu władzy. Większość z nich należała do ludzi pracujących w aparacie gospodarczym (około tysiąca dyrektorów, kierowników i głównych księgowych i 580 prezesów spółdzielni), mniej natomiast do funkcjonariuszy administracji (9 wo-

jewodów, 57 prezydentów i naczelników) i aparatu partyjnego (80).

W rzeczywistości liczba tego rodzaju spółek była znacznie większa, bo szacunki nie obejmują firm, w których udziały mieli członkowie rodzin osób należących do nomenklatury. Dopiero w 1990 r. wydano przepisy, które zakazały łączenia kierowniczych stanowisk w państwowym aparacie gospodarczym i administracyjnym z udziałami w prywatnych spółkach.

Ten proces uwłaszczenia tak opisał później szef SB, wiceminister spraw wewnętrznych gen. Henryk Dankowski: „Gdy tylko weszła ustawa i okazało się, że w dziesiątkach fabryk tworzą się de facto fikcyjne spółki i oszukują budżet państwa, natychmiast podjęliśmy działania. Można sprawdzić, ile wysłaliśmy informacji o tym zjawisku. Zmian systemowych nie udało się nam od kierownictwa PRL wyegzekwować, ale w końcu nie od tego byliśmy”.

Istotnie, w materiałach MSW można odnaleźć incydentalnie dokumenty sygnalizujące „niekorzystne zjawiska w zakresie tworzenia spółek”. W jednym z nich – powstałym w drugiej połowie sierpnia 1989 r. – stwierdzono: „Należy zauważyć, że bardzo poważną rolę w przyzwoleniu na uprawianie takich i podobnych praktyk odegrało oficjalne stanowisko czynników rządowych przez formowanie tezy »co nie jest zabronione – jest dozwolone«”.

Żerowanie na (państwowej) kasie

We wrześniu i październiku 1989 r. NIK przeprowadziła kontrolę powiązań spółek z przedsiębiorstwami państwowymi i oceniła, że w 60 proc. przypadków działalność spółek „ograniczała się do pośrednictwa handlowego pomiędzy przedsiębiorstwami produkcyjnymi a ich dotychczasowymi odbiorcami”, zaś „sprzedaż towarów przez spółki z reguły polegała tylko na fakturowaniu dostaw kierowanych do odbiorców bezpośrednio z magazynów producentów”. Obrazu pasożytniczej działalności dopełniało nagminne korzystanie przez spółki z infrastruktury przedsiębiorstw państwowych (lokali, telefonów, aut itd.).

Typowym przykładem przepompowywania środków państwowych w ręce prywatne była opisana przez NIK sprawa Zakładów Przemysłu Odzieżowego „OTIS” we Wrocławiu.

Czy celem władz PRL był w latach 1988-1989 wariant chiński: zmiany gospodarcze przy utrzymaniu steru rządów? Faktem jest, że dokonały konwersji władzy politycznej na kapitał ekonomiczny.

Ich dyrekcja zainwestowała 332 mln zł w siedem spółek, które przyniosły zaledwie 2,6 mln zł zysku (gdy ulokowanie tej sumy w banku przyniosłoby dziesięciokrotnie wyższe odsetki). Podobny mechanizm zastosowano w Zielonogórskich Kopalniach Surowców Mineralnych, które sprzedawały kruszywo za pośrednictwem 13 spółek. W ośmiu udziałowcem okazał się dyrektor ds. produkcji wraz z żoną i córką. We władzach spółki pasożytującej na białostockim „Instalu” obok dyrektora znalazł się z kolei przewodniczący Rady Pracowniczej i sekretarz PZPR.

Znacznie większe zyski osiągały spółki pośredniczące w sprzedaży szczególnie poszukiwanych towarów pochodzących od monopolistów na rynku. Tak było np. w przypadku Zakładów Płytek Ceramicznych „Opoczno”, wytwarzających ok. 90 proc. krajowej produkcji glazury i terakoty, gdzie kilka spółek zajmowało się „promocją” towaru poszukiwanego na ogólnym rynku budowlanym. Pokrewną formę tej ścieżki uwłaszczeniowej stanowiło przekazywanie poufnych informacji o przygotowywanych zmianach w przepisach. Najbardziej znane przykłady to otwarcie sieci kantonów przez Aleksandra Gawronika w dniu wejścia w życie nowego prawa dewizowego i wykorzystanie nieprecyzyjnych przepisów, wydanych w grudniu 1988 r. przez Ministra Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, do importu alkoholu na wielką skalę.

Częste było też udzielanie spółkom przez przedsiębiorstwa państwowe różnych form „kredytu”. Prawdopodobnie największym beneficjentem tych operacji stał się utworzony w czerwcu 1989 r. Bank Inicjatyw Gospodarczych SA, którego prezesem został Bogusław Kott (wcześniej dyrektor departamentu w Ministerstwie Finansów). W chwili powstania 98 proc. udziałów w BIG należało do firm państwowych, jak PZU, Poczta Polska, Telegraf i Telefon, Warta i kilku spółek (m.in. Universal, Transakcja, Interster). Byli lub aktualni szefowie tych przedsiębiorstw stali się – jak Anatol Adamski z PZU czy Andrzej Cichy z Poczty – indywidualnymi udziałowcami pozostałych akcji BIG-u. Akcje banku kupili też m.in. Jerzy Urban, Andrzej Olechowski (wiceprezes NBP) i Aleksander Borowicz (podsekretarz stanu w URM).

Podobną rolę co BIG odgrywało na rynku ubezpieczeniowym Towarzystwo Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjne „Polisa” (związane z nim zresztą kapitałowo), które powołano w marcu 1989 r. Wśród jego akcjonariuszy znaleźli się z czasem m.in. Manfred Gorywoda (b. sekretarz KC), Zdzisław Sadowski (b. wicepremier), Andrzej Wróblewski (minister finansów w rządzie Rakowskiego) oraz Maria Oleksy i Jolanta Kwaśniewska.

Zasilanie BIG odbywało się m.in. drogą lokowania w banku przez instytucje państwowe sum wielokrotnie przewyższających kapitał założycielski banku (wynoszący 1 mld zł). PZU powierzył BIG SA aż 65 mld zł, z gwarancją, że lokata nie będzie wycofana przez 10 lat i dopiero wówczas naliczone zostaną odsetki (po zmianie władz PZU warunki umowy kilkakrotnie renegotjowano).

Premier, minister, sekretarz...

Wśród instytucji, które zainwestowały w BIG-u, była też powstała w kwietniu 1989 r. Fundacja Rozwoju Żeglarstwa. Wśród jej założycieli obok Kotta znaleźli się premier Rakowski i szef Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej Aleksander Kwaśniewski.

Fundacja była z kolei jednym z udziałowców spółki Interster, której Komitet ds. Młodzieży udzielał liczonego w miliardach złotych pożyczek (jeszcze w 1995 r. spółka ta była winna UKFiS ponad 6,4 mld zł.). W listopadzie 1988 r. do Intersteru trafiło też 429 mln zł, za które Komitet Wykonawczy OPZZ zdecydował się kupić 1,5 tys. akcji tej spółki. Przy okazji członków Komitetu poinformowano, że akcja Intersteru w chwili jej założenia w 1983 r. była warta 50 tys. zł, a w 1988 r. już 275 tys., co – zakładając, że podane kwoty były prawdziwe – oznaczałoby ponad pięciokrotny wzrost jej wartości w tym okresie. Nawet uwzględniając inflację, to imponująca dynamika.

Równie szybko rósł w siłę Bank Inicjatyw Gospodarczych. W lutym 1990 r. do BIG SA trafiło 160 mld zł z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (FOZZ). Większość tej olbrzymiej sumy (100 mld) BIG SA po kilku dniach przeniósł do PKO SA, zarabiając na różnicy oprocentowania co najmniej 1,8 mld, czyli więcej, niż wynosił jego kapitał założycielski.

Sam FOZZ, po trzech latach działalności w ramach Ministerstwa Finansów, został wiosną 1989 r. usamodzielniony. 15-miesięczny okres (kwiecień 1989 – lipiec 1990 r.) stosowania przez kierownictwo FOZZ – kontrolowane przez oficerów i agentów wywiadu wojskowego – „niekonwencjonalnych” metod przy wykupie polskich długów zagranicznych, zaowocował stratami dla budżetu państwa szacowanymi na blisko 1,4 bln zł.

Otwarte pozostaje pytanie, w jakim stopniu kierownictwo PZPR traktowało opisane wyżej zjawiska jako istotny środek mający przelać konserwatywne nastroje występujące na średnim szczeblu aparatu władzy i poprawić samopoczucie jego funkcjonariuszy.

Udział ludzi władzy – w tym z otoczenia Jaruzelskiego – w różnych przedsięwzięciach biznesowych i związane z tym korzyści materialne miały natomiast istotny wpływ na ich zachowanie w drugiej połowie 1989 r.: utratę władzy politycznej przez PZPR część jej członków – zajmujących istotne stanowiska w aparacie państwa – zaczęło postrzegać jako nieuchronną cenę przemian własnościowych, których byli znaczącymi beneficjentami.

Silniej niż w przypadku aparatu partyjnego mechanizm ten wystąpił wśród ludzi pracujących jako kadra zarządzająca w przedsiębiorstwach państwowych. Mieli oni znacznie większe możliwości, kontakty i doświadczenie w prowadzeniu działalności gospodarczej. I to właśnie oni – co pokazują też badania socjologiczne nad elitą polskiego biznesu prowadzone w połowie lat 90. – stali się liderami dużej i średniej przedsiębiorczości.

Zwykli Polacy w większości trafili do small biznesu. ♦

→ Dr hab. ANTONI DUDEK (ur. 1966) jest politologiem i historykiem, pracownikiem naukowym UJ oraz doradcą prezesa IPN. Opublikował m.in. „Historię polityczną Polski 1989–2005” (2007) i „PRL bez makijażu” (2008).

Śłuchaj więcej w audycji **TOK** Pierwsze Radio Informacyjne w środę o 16.45, w Radiu TOK FM

KAPITALIZM

JAKI MODEL GOSPODARCZY ZBUDOWANO W POLSCE W CIĄGU MINIONYCH 20 LAT? I JAKIE MIAŁO TO SKUTKI NIE TYLKO DLA ŻYCIA GOSPODARCZEGO, ALE DLA ROZWOJU SPOŁECZNEGO?

RAFAŁ MATYJA

Kapitalizm rysowany przez propagandę PRL był groźnym żywiołem, niszczącym społeczeństwa Zachodu. Kapitalizm istniejący w doświadczeniu potocznym – zamożniejszym i lepszym światem, do którego dostęp zamknięto przed nami raz na zawsze. Światem pożądanym dóbr konsumpcyjnych, dobrze opłacanej pracy, większych możliwości życiowych. Jego witryny: sprzedające za dolary Peweksy, zachodnie filmy, kolorowe pisma – przeczyły propagandzie.

Kapitalizm harmonii

A jednak... Dziś może się to wydawać dziwne, ale w świecie opozycji lat 80. zwolennik gospodarki kapitalistycznej był zjawiskiem niezwykle rzadkim, izolowanym, mającym status osoby niepoważnej, czasami wręcz „dywersanta” w walce o sprawiedliwość społeczną. O ile świat pojęć potocznych identyfikował kapitalizm po prostu z zachodnim dobrobytem, o tyle elity opozycji długo zachowywały wobec wolnorynkowych rozwiązań w gospodarce daleką rezerwę, często niechęć. Propagowały wizję, w której chaosowi i niesprawiedliwości kapitalizmu można przeciwstawić gospodarkę „trzeciej drogi” – rozumną i tworzącą społeczną harmonię interesów.

Nic zatem dziwnego, że zdecydowanie mniejszościowa, spychana na opozycyjny margines grupa zwolenników kapitalizmu – ze Stefanem Kisielewskim, Januszem Korwin-Mikkem, Mirosławem Dzielskim – musiała przełamać przede wszystkim „czarną legendę” wolnego rynku. Harmonię wprowadzoną przez racjonalnego planistę zastępowała łańcem samorzutnym, harmonią osiąganą przez uzgodnienie reguł gospodarowania z naturą ludzką, światem swobodnie kształtujących się potrzeb, swobodą kontraktu i odejściem od regulacji cen przez państwo.

Propagowany w latach 80. kapitalizm był zatem opisywany w pewnym oderwaniu od realiów Europy Zachodniej, raczej przez odniesienie do projektów Ronalda Reagana czy Margaret Thatcher. Wskazywano przy tym – jak w przypadku Dzielskiego – na jego zasadniczą, nie tylko formalną, ale i duchową zgodność z porządkiem chrześcijańskim, na jego efektywność w zaspokajaniu potrzeb i generowaniu wzrostu gospodarczego. Wreszcie – na znacznie większą sprawiedliwość w alokacji środków.

Nierówność uznawano za cechę wszystkich systemów ekonomicznych: w kapitalizmie jej

wyznacznikiem były pieniądze, w socjalizmie – znajomości, dojścia, pozycja w aparacie władzy. Realne mechanizmy rządzące życiem gospodarczym PRL postrzegano jako regres – cofnięcie się do pierwotnych sposobów zdobywania środków do życia. Dzielski wychwytywał zabawne słownictwo tamtych czasów, wskazujące na „zbieracko-łowiecki” charakter społeczeństwa socjalistycznego: polującego na deficytowe produkty, gromadzącego zapasy, budującego indywidualne kanały zaopatrzenia (bezpośrednio u producentów).

Chaos sprymitywizowanej gospodarki socjalistycznej miała zastąpić harmonia popytu i podaży, przedsiębiorczości i jej materialnych nagród. Harmonia oparta na całkowitym wycofaniu się państwa z pozycji regulatora na pozycję sprawiedliwego strażnika reguł. Motywem, który miał zachęcić rządzących do realizowania tego scenariusza, miała być zamiana władzy na własność. Zamiana dokonywana w warunkach laboratoryjnie czystych, a zatem przez jednorazowe uwłaszczenie – bez długotrwałych przywilejów naruszających równość rynkowej rywalizacji.

Kapitalizm wstrzelony

Nowy ład ekonomiczny – rysowany przez liberalistów i konserwatystów – miał powstawać w sposób ewolucyjny. Przede wszystkim przez deregulację gospodarki, prywatyzację i nierepresjonowanie przedsiębiorczości. Pewne elementy strategii rządu Mieczysława Rakowskiego z przełomu roku 1988 i 1989 wskazywały nawet na skłonność do realizowania takiego właśnie projektu. Jego alternatywą był zaproponowany przy Okrągłym Stole model ewoluujących paktów społecznych, gospodar-

Od góry:

Łódź, rok 1993: Thomas Heanue, Amerykanin z Bostonu i właściciel firmy Indiana Foods (handlującej orzeszkami i masłem orzechowym itp.) zamierza wejść na polski rynek. Stoi obok firmowego samochodu.
Warszawa, rok 1990: Hala Mirowska – nareszcie jest mięso.
Warszawa, czerwiec, 1989 r.: giełda samochodowa. W warunkach hiperinflacji ceny podawane są w dolarach, nawet za elektryczny wózek inwalidzki.

ZDJĘCIA: Chris Niedenthal / FORUM



NASZ REALNY

ki kontrolowanej już nie przez arbitralnego planistę, ale porozumienie między administracją gospodarczą a związkami zawodowymi.

Wygrał model trzeci – tylko z pozoru będący syntezą dwóch zarysowanych wyżej alternatyw. Można go określić – nawiązującym do obserwacji Jadwigi Staniszkis – mianem „kapitalizmu wstrzelonego”. Kapitalizmu, który (inaczej niż na Zachodzie) nie powstał w wyniku ewolucji struktur gospodarczych, ale został wprowadzony w ramach zewnętrznej agendy, opracowanej przez instytucje finansowe. Określała ona pewne instytucjonalne minimum rozwiązań, które pozwalało na korzystanie ze wsparcia ekonomicznego Zachodu, a zarazem włączało polską gospodarkę w obieg międzynarodowy.

Owo „wstrzelenie” oznaczało zasadniczą zmianę logiki gospodarowania. Szokowy odwrót od gospodarki niedoboru (gdzie dobrem rzadkim był towar, a o dostępie do niego decydowały „znajomości”) ku gospodarce, w której ważne było raczej, by mieć dobrą pracę, dającą zarobki – kluczowe na obficie zaopatrzonym rynku.

„Wstrzelenie” uderzyło najsilniej w tych, którzy byli w końcówce socjalizmu największymi beneficjentami sytuacji niedoboru: w producentów żywności, sektor usług, rzemiosło. Paradoksalnie zatem – w PRL-owskie rezerwy wolnej przedsiębiorczości. Jednocześnie ustanowiło nowe reguły gry, w których największe szanse mieli ludzie z szerokim dostępem do zasobów: łatwych kredytów, zamówień publicznych (nieregulowanych wówczas przez żadne normy prawne), zwolnień podatkowych, dostępu do informacji na temat projektowanych zmian, wiedzy o przedsiębiorstwach i możliwości przejmowania ich aktywów itp.

„Kapitalizm wstrzelony” w warunkach szoku tworzył system, w którym bardziej niż innowacyjność, przedsiębiorczość czy pracowitość liczyły się zasoby wynoszone ze świata dawnej władzy.

Kapitalizm postkomunistyczny

Nic zatem dziwnego, że „renta” władzy PRL nie wyraziła się wyłącznie w zamianie władzy na własność, ale przede wszystkim we względnie trwale uprzywilejowanej sytuacji „segmentu postkomunistycznego” w pierwszej fazie kapitalistycznej rywalizacji i akumulacji.

„Segment komunistyczny” rozumieć należy tu raczej jako zdecentralizowaną sieć powiązań między ludźmi tworzącymi elitę PRL – na styku aparatu państwowego, partyjnego, służb specjalnych, nomenklatury gospodarczej. By wyobrazić sobie zasoby tego segmentu, starczy wskazać na przewagę konkurencyjną, jaką dla startującego przedsiębiorstwa mógł być tani lub wręcz nieogrzewany kredyt, korzystne zamówienie publiczne, dostęp do wiedzy o przygotowywanym rozporządzeniu, udział w uprzywilejowanej prywatyzacji itd.

Oczywiście, system był na początku otwarty dla wszystkich. Ale przez ową nierówną konkurencję uprzywilejował tych, którzy korzystali z „kapitału społecznego” wyniesionego z poprzedniego ustroju. Zjawisko to delegitymizowało w znacznym stopniu nowe po-

rządki. Okazywało się bowiem, że uczestnictwo w potępianym oficjalnie aparacie władzy, a niekiedy nawet aparacie przemocy – zostało w nowej Polsce nagrodzone przywilejami ekonomicznymi. Co więcej – owa nagroda nie miała jednorazowego charakteru.

Kapitalizm lat 90. stał się bowiem – odwołajmy się raz jeszcze do Staniszkis – „kapitalizmem politycznym”. Systemem, w którym najwyższe nagrody zdobywają ci, którzy potrafią trwale wykorzystywać znajomości w urzędach, wymiarze sprawiedliwości, aparacie skarbowym, dziurawym i niekontrolowanym systemie bankowym. „Kapitalizm polityczny” przesunął, zmieniając jedynie sposoby, środki publiczne do sfery prywatnej własności. Z czasem stało się jasne, że niemal wszystkie największe fortuny są – jak w PRL – pochodną „dojść” politycznych, a nie wynikiem genialnych projektów rynkowych.

Oczywiście, kapitalizm postkomunistyczny pozostawał nadal kapitalizmem – a zatem modelem względnie otwartym, promującym przedsiębiorczość, reagującym na potrzeby rynku. Tyle tylko że w poważny sposób naruszającym reguły równej konkurencji. Co więcej – reprodukuje on z czasem owe reguły na poziom niższy. Choć w realiach gospodarczych społeczności lokalnych często trudno było je nazwać „kapitalizmem politycznym”, to nieformalne relacje między przedsiębiorcami, aparatem skarbowym, bankami a lokalną administracją niskiego, apolitycznego szczebla stawały się regułą.

Apogeeum tego kapitalizmu to okres rządów Leszka Millera. Jego załamanie się – to moment powołania komisji śledczych Sejmu IV kadencji.

Kapitalizm lokalny czy peryferyjny

Moment załamania się mechanizmów „kapitalizmu politycznego” (czy też postkomunistycznego) będzie z pewnością jeszcze długo dyskutowany. Wydaje się bowiem, że możliwość wyjścia poza jego logikę została podyktowana przez czynniki niekoniecznie uwarunkowane politycznie.

Po pierwsze – przez znaczny udział kapitału zagranicznego w sektorze finansowym, wysoki poziom inwestycji w sektor handlu detalicznego. Wymuszało to korektę reguł gry – na rzecz bardziej przejrzystych i eliminujących lub ograniczających dawne układy.

Po drugie – spora liczba miejsc pracy dla menedżerów oferowanych poza układem postkomunistycznym tworzyła poczucie znacznie większej niezależności, niż miało to miejsce w latach 90.

Wreszcie – perspektywa przystąpienia do Unii Europejskiej ułatwiała przeprowadzanie wielu regulacji, które w pierwszej fazie zmian prowokowały skuteczny opór grup interesu, zainteresowanych długim okresem braku formalizacji reguł.

Przełom, jaki miał miejsce w latach 2003–2004, ujawnił zatem z całą ostrością istotny dylemat polskiego kapitalizmu, jakże odmienny od podręcznikowych ujęć tej kwestii. Miejsko wybór: między przejrzystymi regułami gry, wprowadzanymi za cenę utraty kontroli kapitałowej i organizacyjnej, a szansą na więk-

szą samoistność za cenę akceptacji gospodarki opartej na układach i przemocy. Dylemat ze złego snu, w którym każdy wybór oznacza rezygnację z czegoś, co uznawaliśmy za ważne.

Wybór dokonywał się jednak w pewnym sensie podświadomie. Strategia obrony rodzimego kapitału skompromitowała się w dwóch istotnych sektorach: mediów i bankowości. W tym pierwszym, gazety przekazywane rodzimym spółkom lub kapitałowi „nie-niemieckiemu” ostatecznie trafiały w ręce koncernów zza zachodniej granicy. W tym drugim przypadku – strategię konsolidacji „rodzimego sektora” zwiększały jedynie rentę, jaką uwłaszczony ekipy zarządcze uzyskiwały przy sprzedaży zagranicznym kontrahentom.

Strategia ochrony „lokalności” oznaczała jedynie chwilowe preferencje dla tych, którzy umieli ją efektywnie zdyskontować. Krajowi przynosiła same szkody. W pewnym momencie stało się jasne, że istotne problemy nie dotyczą zachowania kontroli, ale jej zakresu i sposobu sprawowania. O ile bowiem kategoria peryferyjności oznacza całkowitą niesamodzielność (pełne uzależnienie od kształtowanych na zewnątrz reguł), o tyle lokalność zakłada pewną grę z dominującymi centrami gospodarczymi, określanie pewnych warunków brzegowych z pozycji silniejszych niż kontestacja.

Paradoksalnie – po wejściu Polski do Unii – strategię umiarkowanego wpływu, „bycia brany pod uwagę”, stały się bardziej realne niż w warunkach pełnej suwerenności. Suwerenność przed rokiem 2004 generowała bowiem pewną rentę dla elit, obsługujących jej styk z globalną gospodarką, ale zarazem nie wymuszała żadnych reguł kontroli „globalizacji”. Obecne reguły wiążą owe swobody, utrudniając np. korzystne dla konkretnego inwestora deformacje prawa lub pozaprawnych reguł konkurencji.

Niewinność i doświadczenie

Propagowany w końcówce lat 80. „kapitalizm harmonii” był możliwy tylko jako swego rodzaju antyteza „harmonii” socjalistycznej. Jako polemiczna wersja liberalnej ideologii, dostosowanej do realiów wczesnych polemik. Z natury rzeczy akcentował „powszechność” i sprawiedliwość wolnego rynku. Powszechność, która w programach liberałów i konserwatystów lat 90. została jeszcze wpisana w projekt powszechnej prywatyzacji (KLD) i projekt „kapitalizmu ludowego” (konserwatyści). Z czasem jednak stało się jasne, że poza pewnymi segmentami handlu i usług, w których kapitalizm powszechny święcił triumfy, dominujące reguły gry odnoszą się do modelu całkiem innego.

W doświadczeniu przeciętnego właściciela sklepu nasz „realny kapitalizm” oznaczał bowiem nierówną konkurencję z reprezentującym „globalny kapitalizm” supermarketem lub z uprzywilejowanym dzięki znajomościom w aparacie władzy „kapitałem postkomunistycznym”. Oznaczał konieczność radzenia sobie z nieufnym – a czasami wrogim – państwem, z jego biurokratycznymi apetytami, z podtrzymującą ducha dawnej epoki kulturą kontroli.

Wyzwaniem najpoważniejszym nie był ani wolny rynek, ani preferencje konsumenta, ale pokonywanie trudności wynikających ze specyfiki „polskiej drogi do kapitalizmu”. Podręczniki przedsiębiorczości stawały się zatem równie życiowe, co wcześniejsza „ekonomia polityczna socjalizmu”. Rozmowy z przedsiębiorcami pozwalały na rekonstruowanie zupełnie innego klucza rozwoju gospodarczego niż ten zakładany w pierwszym okresie.

Z drugiej jednak strony – system renty władzy (tej dawnej i tej obecnej) z czasem okazał się nieefektywny. Więzy sprzed 1989 r. pekały, a interesy „segmentu postkomunistycznego” ulegały rozwarstwieniu. Kapitalizm początków XXI w. okazywał się bardziej skomplikowany, może nawet mniej obiecujący niż nadzieje sprzed transformacji, ale zarazem nadal „otwarty”. Nie ciążyła nad nim – jak przez lata nad socjalizmem – żadna teza o „niereformowalności”. Przeciwnie: zmienność, elastyczność, a także daleko idąca nieprzewidywalność czyniły zeń system godny podtrzymania – dość rzadko kwestionowany na poziomie założenia.

Legitymizowany przez obfitość i rosnącą dostępność dóbr konsumpcyjnych, przez nadzieje, jakie budzi, przez poczucie realnej ucieczki z „gorszego świata”, w jaki zostaliśmy wepchnięci po roku 1945 – jest także modelem, którego kształt może być w istotnej mierze określany lokalnie. Określany nie tyle przez świadome działania władz państwowych, lecz głównie przez siłę postaw zakorzenionych w kulturze i przez tę kulturę – także w drodze refleksji – kształtowanych.

Aby ta gra w kapitalizm była dojralsza, warto wyjść poza żarliwą afirmację, bardziej wolnorynkową niż pisma Friedmana i antynowoczesne sentymenty. Aparatura wielkich systemów ideowych jest bowiem przydatna tylko do wielkich rozstrzygnięć „albo-albo”. Tymczasem fascynujące zmiany i lokalne odmienności kształtują się poza tymi rozstrzygnięciami. Rozstrzygają się na poziomie postaw i decyzji przedsiębiorców, konsumentów, urzędników, finansistów. Postaw, których nie reguluje już odgórna instrukcja władz ani rzekoma logika wolnego rynku, lecz intelektualne i kulturowe „wyposażenie” – dostarczane przez rodzinę, szkołę, media, wspólnoty religijne czy instytucje kultury.

I choć kształt kapitalizmu stanowi przedmiot nauk ekonomicznych, to czynniki go określające leżą poza polem ich percepcji. ♦

→ RAFAŁ MATYJA jest politologiem i historykiem, wykładowcą Wyższej Szkoły Biznesu w Nowym Sączu. W latach 80. w opozycji (m.in. w Ruchu Młodej Polski). Autor hasła „IV Rzeczpospolita” jako państwa zrywającego ciągłość z praktyką ustrojową PRL nie tylko w sferze symboliki, ale przede wszystkim instytucji i praktyki ustrojowej. Wraz z Rafałem Dutkiewiczem, Janem Rokitą i Kazimierzem M. Ujazdowskim jest twórcą portalu internetowego Polska XXI. Autor wielu publikacji, m.in. „Trzecia Rzeczpospolita – kłopoty z tożsamością”, „Państwowość PRL w polskiej refleksji politycznej lat 1956–1980”.

Czy mogło być INACZEJ?

W ciągu 20 lat w Polsce dokonał się skok cywilizacyjny. Ale co można było zrobić lepiej? O tym dyskutują: **JERZY OSIATYŃSKI** (w rządzie Mazowieckiego szef Centralnego Urzędu Planowania) i **WALDEMAR KUCZYŃSKI** (szef doradców premiera Mazowieckiego).

► RYSZARD HOLZER: Czy ostatnie 20 lat w gospodarce to sukces?

JERZY OSIATYŃSKI: W końcu lat 80. chodziło o trzy sprawy. Po pierwsze – w obszarze systemu politycznego – o brak wolności, demokracji i praw obywatelskich. Po drugie – w obszarze stosunków zewnętrznych – o suwerenność państwa. I po trzecie – w obszarze gospodarczym – o poprawę sytuacji materialnej i stworzenie podstaw długofalowego rozwoju. W żadnym z tych obszarów nie mamy się czego wstydić: przeszliśmy do gospodarki rynkowej, system polityczny jest wielopartyjny, działają samorządy, wojska b. ZSRR zostały wyprowadzone, jesteśmy w NATO i UE, a w ciągu kilku lat możemy znaleźć się w strefie euro. Spożycie trwałych dóbr konsumpcyjnych, warunki mieszkaniowe, wydatki gospodarstw domowych na potrzeby inne niż podstawowe, dochody ludności – wszystkie te wskaźniki wykazują olbrzymi wzrost, nieraz kilkukrotny. Do tego trzeba dodać spadek umieralności, wydłużenie przeciętnego trwania życia, olbrzymi postęp w dostępie do edukacji. Naprawdę przez te 20 lat przeszliśmy bardzo daleką drogę.

WALDEMAR KUCZYŃSKI: Tak – to sukces gigantyczny. Nie tylko w porównaniu z rokiem 1988, ale i na tle wszystkich krajów postkomunistycznych należymy do ścisłej czołówki najlepiej przeprowadzonej transformacji. A zarazem – mimo subiektywnego odczucia wzrostu dysproporcji podziału między najlepiej i najgorzej zarabiającymi (relacja górnych i dolnych 5 proc. rozkładu dochodów w społeczeństwie) – nierówności nie zmieniły się znacząco w porównaniu z dekadą poprzedzającą rewolucję Solidarności. W codziennych dyskusjach z natury rzeczy skupiamy się na tym, co się nie udało i co można było zrobić lepiej, ale przecież kiedy podsumowujemy ten czas, warto zacząć od pozytywnych dokonań. Bo powinniśmy być z tego dumni.

► Jeszcze za Rakowskiego weszła ustawa liberalizująca gospodarkę i podniesiono wiele cen, próbując odzyskać równowagę gospodarczą.

JERZY OSIATYŃSKI: Rakowski w zasadzie chciał zrobić to samo, co my zrobiliśmy, ale nie miał na to społecznej legitymizacji. Natomiast nowe, postsolidarnościowe elity polityczne miały kredyt zaufania, bez którego przeprowadzenie reform nie było możliwe.

► Ale wybory z 4 czerwca dawały tylko legitymację do „poprawionego socjalizmu”, który uzgodniono przy Okrągłym Stole, a nie do kapitalizmu.

JERZY OSIATYŃSKI: Tzw. przeciętni wyborcy, z którymi rozmawiałem kandydując w 1989 r. z Bieszczad, nie analizowali, jaki ma być model gospodarczy. Po prostu wierzyli, że do władzy przyjdą „nasi” ludzie, z plakatów ze zdjęciem z Wałęsą, bardziej uczciwi i kompetentni, i że dzięki temu będzie lepiej. Nie głosowano na program gospodarczy Okrągłego Stołu, bo takiego nie było, on się wykluczał w toku sprawowania polityki.

WALDEMAR KUCZYŃSKI: Jedyną legitymacją 4 czerwca było to, że ma być lepiej. To, co w gospodarce ustalono przy Okrągłym Stole, to były życzenia stron, często pobożne, i wyraz tego, co uważano, że da się zrobić. Wtedy jeszcze nie widziano szansy likwidacji socjalizmu w gospodarce, choć po obu stronach byli tego zwolennicy. Trwały przecież i PZPR, i ZSRR. Trzeba było się z tym liczyć.

► Zanim zrobiło się lepiej, było gorzej. Konieczna była terapia szokowa?

WALDEMAR KUCZYŃSKI: Wybór był taki – szybko czy stopniowo. Byłem zdecydowanie za marszem jak najszybszym. Nazwano to poetycko „terapią szokową” i ona się sprawdziła. Gdyby była inna, realna i lepsza droga, to by się znalazła, bo bardzo jej szukano. A nie znalazła jej też lewica po zdobyciu władzy. Były tylko odchyłki od głównego kursu, zwykle niedobre. Na przykład blokowanie prywatyzacji czy zwiększanie popytu, by pobudzić produkcję. Dwa pierwsze rządy koalicji SLD i PSL w połowie lat 90. rozgrzały gospodarkę, wpuszczając do niej więcej pieniędzy, a rząd ostatni, Cimoszewicza, musiał zacząć jej schładzanie.

JERZY OSIATYŃSKI: Ja najbardziej bałem się odwrócenia trendu zmian przez rząd Olshewskiego, który w gruncie rzeczy po to został powołany... Ale ten ogólny kierunek nie był podważany. Co nie powinno zwalniać nas z obowiązku pytania, co można było zrobić lepiej.

► Albo co zostało skopane.

JERZY OSIATYŃSKI: Albo czy nie było takich rzeczy, które robiliśmy po względów ideologicznych, a których rzeczywiste oddziaływanie na rozwój gospodarczy może być podawane w wątpliwość. Mówienie o braku alternatywy to jest takie podejście, które ma z góry wpisana odpowiedź, że tej alternatywy nie było. Ale ja wolę na to patrzeć tak: czy trzeba było zmieniać strukturę własnościową gospodarki? To nie ulega wątpliwości. Czy był potrzebny pakiet stabilizacyjny „na dzień dobry”? Niewątpliwie tak. Czy potrzebna była zmiana instytucjonalna gospodarki, restrukturyzacja i konsolidacja

systemu bankowego? Tak, były potrzebne i co do tego nikt się nie spierał spośród tych, którzy rządili. Natomiast różnice polegają na tym, jak głębokie musiały być początkowe cięcia w pakiecie stabilizacyjnym i czy było rozumne prowadzenie zmian strukturalnych, zwłaszcza restrukturyzacji „trudnych” gałęzi przemysłu, które w nowych warunkach nie mogły szybko sprostać wymogom konkurencji.

► Cięcia musiały być takie głębokie?

JERZY OSIATYŃSKI: Gdy w rządzie Mazowieckiego byłem szefem Centralnego Urzędu Planowania, to zaprosiłem jako konsultanta profesora Kazimierza Łaskiego. I on to załamanie produkcji przewidział w sporządzonym przez siebie modelu. Więc to nie jest tak, że tego się nie dało przewidzieć, tylko my się baliśmy wniosków, które z tego wynikały. Nawet przedstawiłmy tę prognozę spadku rozmiarów produkcji i zatrudnienia, przyspieszenia inflacyjnego na Radzie Ministrów. Tylko – jak pójść do Sejmu z taką wiadomością i uzyskać polityczne poparcie dla reform?

WALDEMAR KUCZYŃSKI: Na starcie nic istotnego nie „skopano”. Były rozbieżności z planami, ale to norma przy działaniu w niepewności. Była prognoza Łaskiego, że produkcja spadnie o 30 proc. To było jedno z wielu wtedy wołań, jak będzie strasznie. I co – wszystkie te głosy czy wróżby mieliśmy pokazywać Sejmowi? Bardzo dobrze, że przeszły mimo uszu. Zespół Balcerowicza zrobił przymiarki, jak mocno zahamować dochody i jakie będą skutki, bo to była istota rzeczy. Szli od łagodniejszych wariantów do ostrzejszych. Uważałem, po kilkuletnich studiach nad stabilizacją gospodarek Ameryki Łacińskiej, że lepiej przesolić, niż nie dosolić, lepiej potem poluznić, niż zaciskać pasa w marszu.

► Tu się kłania pytanie o koszty, np. trwającą i dziś nędzę w rejonach PGR-owskich. Może lepiej było nie dosolić?

WALDEMAR KUCZYŃSKI: No to stawiam pytanie, jak można było utrzymać PGR-y. System koszmarnie marnotrawny, pochłaniający ogromną ilość środków i dający nieproporcjonalnie małą i drogą produkcję, musiał być zlikwidowany. Może gdyby od razu powołano Agencję Własności Rolnej, dałoby się nieco zmniejszyć koszty społeczne. To opóźnienie mogę zaliczyć do porażek. **JERZY OSIATYŃSKI:** Problem polegał na tym, że w PGR-ach nie dawało się robić opłacalnej produkcji towarowej. To, gdzie my się okazaliśmy intelektualnie za słabi, to było nieprzeprowadzenie nowej reformy rolnej. Trzeba było dać za darmo ziemię PGR-owską każdemu pracownikowi, który chciał. Z tego mogło tylko wyjść rolnictwo na poziomie przetrwania, ale lepiej żeby takie go-

spodarstwa istniały, niż żeby ludziom płacić zasiłki dla bezrobotnych.

► Czy w założeniach polskich reform był nadmiar liberalnej ideologii?

JERZY OSIATYŃSKI: Uważam, że były takie rozwiązania, tym właśnie podyktowane. Na przykład reforma kapitałowa systemu świadczeń emerytalnych, za którą o tyle mogę czuć się współodpowiedzialny, że jako poseł podnosiłem za nią rękę. Kiedy ze względów demograficznych zmniejsza się liczba pracujących i wydłuża przeciętny okres życia, to bez względu na system finansowania tych świadczeń zawsze konieczne jest zwiększenie składki (lub odpisu) albo zmniejszenie świadczenia w relacji do przeciętnej płacy, albo jakaś kombinacja jednego i drugiego. Różnica między systemem repartycyjnym i kapitałowym polega na tym, że w tym pierwszym wymaga to podjęcia przez rząd niepopularnej decyzji politycznej, a w drugim te decyzje są podejmowane przez anonimowy rynek. Na dodatek system kapitałowy zmniejsza nacisk na wcześniejsze przechodzenie na emeryturę. To jest ważne, kiedy się ma współczynnik aktywności zawodowej o 10 proc. niższy niż przeciętnie w Unii. Ale podstawowego problemu konsekwencji zmian demograficznych żadna zmiana systemu finansowania emerytur nie rozwiązuje.

WALDEMAR KUCZYŃSKI: Nie zgadzam się, że kierowaliśmy się ideologią. Mieliliśmy przed oczami katastrofę gospodarki państwowej, widzieliśmy jej nędzę i zapewne na zasadzie reakcji liczyliśmy, że rynek da więcej, niż mógł. Ale, przynajmniej u mnie to nie wynikało z ideologii, tylko z oceny sytuacji. Prof. Michał Kalecki mawiał, że ekonomia to pragmatyzm. Nie mam ulubionej szkoły ekonomicznej, żadna nie ma całej prawdy, każda jej kawałek. Sztuka polega na tym, by dla danej sytuacji dobrać odpowiednie działania. Uważałem wtedy, że trzeba jak najszybciej oczyścić pole po gospodarce planowej, by mogła powstać rynkowa. Ale nie dla liberalizmu, tylko dla skuteczności. Owszem, widzę ideologię w działaniach rządu Mazowieckiego, ale socjalną. Na przykład w ustawie o zasiłkach dla bezrobotnych, podyktowanej przez opiekuńcze myślenie Jacka Kuronia. I z tego samego powodu bardzo dobrą osłonę emerytów i rencistów, wbrew krzykom, że już umierają. Chyba i danie załogom sporo akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw miało podkład ideologiczny... ◆

ROZMAWIAŁ RYSZARD HOLZER

● Czy chciano „zagłodzić” państwo? Czego nie udało się zreformować? Dlaczego do dziś nie ma autostrad? O tym w rozszerzonej wersji debaty na naszej stronie internetowej.

Waldemar Kuczyński:

„Terapia szokowa” się sprawdziła. Gdyby była inna droga, realna i lepsza, to by się znalazła, bo bardzo jej szukano. Nie znalazł jej też SLD po zdobyciu władzy.

Jerzy Osiatyński:

Trzeba było dać za darmo ziemię pracownikom PGR-ów. Z tego mogło wyjść rolnictwo na poziomie przetrwania. Ale lepsze to niż płacić ludziom zasiłki dla bezrobotnych.